№ 41. Warszawa, dnia 27 Września (9 Października) 1886 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

Z PIŚMIENNICTWA POLSKIEGO.

Adam Mickiewicz. Zarys biograficzno-literacki, skreślił Piotr Chmielowski, 2 tomy. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1886 r.

Zarys literatury polskiej z ostatnich lat dwudziestu, przez d-ra Piotra Chmielowskiego. Wydanie drugie, poprawione i znacznie powiększone. Nakład A. W. Gruszeckiego. 1886 r.

Jeden z najpoważniejszych krytyków i najlepszych znawców historyi literatury polskiej, Piotr Chmielowski, zbogacił w ostatnich czasach piśmiennictwo nasze dwiema cennemi, choć nierównej wartości, książkami. W pierwszej z nich autor cofnął się w przeszłość, aby na szeroko podmalowanem tle epoki, odwzorować z możliwą dokładnością wspaniałą postać orła poezyi polskiej: w drugiej zanurzył się w wir ścierających się od lat dwudziestu sprzecznych prądów i na mocy krytycznej ich oceny, starał się wyprowadzić pewne wnioski o pożytku i szkodliwości tej całej walki. Pierwsze dzieło jest zupełną nowością, drugie tylko powiększonem w dwójnasób nieledwie wydaniem książki przed pięciu już napisanej laty. Rozpatrzmy je po kolei.

I.

Dużo pisano o Mickiewiczu. Wyczerpująca bibliografia w tomie I-ym „Złotej Przędzy”, przez St. Krzemińskiego ułożona, wymienia około 120 rozmaitych notat, wspomnień, szkiców, studyów, rozbiorów, przyczynków, broszur i artykułów dziennikarskich, jego życiu i dziełom poświęconych.

Wszystko to jednak były prace drobne, cząstkowe, temu lub owemu szczegółowi z życia wieszcza, temu lub owemu jego utworowi poświęcone; na wyczerpującą biografię i dokładny, krytyczny rozbiór wszystkich dzieł swoich, czyli jednem słowem, na godny, wszechstronny wizerunek swój, książę poetów polskich napróżno oczekiwał.

Dopiero w ostatnich czasach powstał w tym kierunku ruch żywszy, razem z projektem wystawienia autorowi „Dziadów” pomnika z bronzu i granitu, zbudziła się myśl wzniesienia mu trwalszego pomnika w literaturze. Zaczęto pracować na raz w kilku punktach kraju. Krakowskie „Koło literacko-artystyczne” ogłosiło konkurs na biografię Mickiewicza. Pojawiające się coraz częściej w rozmaitych czasopismach studya nad jego życiem i dziełami: Ziemby, Tretiaka, Biegeleisena, jakkolwiek urywkowe, robiły jednak wrażenie ustępów z obszerniejszych całości i pozwalały przypuszczać, że przygotowują się prace dokładniejsze i bardziej wyczerpujące. Oczekiwano i nie zawiedziono się. W krótkich po sobie odstępach czasu ukazały się trzy dzieła, które znakomicie zbogaciły ubogi dotąd w większe monografie skarbiec literatury Mickiewiczowskiej.

Pierwszy J. Tretiak ogłosił w 1884 roku trzytomową pracę: „Mickiewicz w Wilnie i Kownie.” Rzecz to napisana bardzo pięknie, zawierająca oprócz szczegółowych danych biograficznych rozbiór napisanych w tym okresie dzieł poety, stanowiąca jednak, jak sam tytuł wskazuje, fragment tylko z biografii autora „Grażyny”. Tegoż roku d-r Henryk Biegeleisen wydał obszerne, gruntowne studyum literackie o „Panu Tadeuszu”, w którem to arcydzieło epoki polskiej po raz pierwszy z należytą wszechstronnością i dokładnością rozebranem zostało. W roku 1886, nareszcie, ukazał się „Adam Mickiewicz. Zarys biograficzno-literacki” Piotra Chmielowskiego, praca niewątpliwie najdoskonalsza z trzech wymienionych, a najdokładniejsza i najbardziej wyczerpująca ze wszystkich wydanych dotąd biografii Mickiewicza. Bo praca ta jest biografią tylko, ale biografią, na jaką nie każdy zdobyć się potrafi.

Autor nie rozbiera dzieł Mickiewicza, zajmuje się niemi o tyle tylko, o ile to jest potrzebnem do uwydatnienia tych lub owych rysów wspaniałej postaci wieszcza naszego. Za wyłączne zadanie wziął sobie zbadanie i sportretowanie genialnego piewcy ze wszystkiemi najdrobniejszemi szczegółami tak wewnętrznych, jak i zewnętrznych jego właściwości, hołdując zaś metodzie Taine'a, według której indywiduum jest zawsze w poważnej części wynikiem i odbiciem wpływów rasy (pochodzenia) i otoczenia, uważał za stosowne dać portretowi swemu szerokie tło historyczno-społeczne, odwzorowujące z niesłychaną żywością i barwnością całe spółczesne Mickiewiczowi życie na Litwie. Wykazywanie związku, zachodzącego między genialną indywidualnością autora „Pana Tadeusza" i współczesnym mu stopniem rozwoju cywilizacyjnego Litwy, całem otoczeniem i życiem ówczesnem, oraz odszukiwanie powodów pewnego jednak wyosobnienia się poety, oto, co dawało autorowi możność wyjaśnienia wielu dotąd mniej zrozumiałych szczegółów, przedstawienia innych w zupełnie nowem oświetleniu i nakreślenia całej postaci wieszcza niesłychanie silnemi i wyrazistemi rysami.

„Geniusz Adama Mickiewicza" powiada autor we wstępie do swego dzieła, „pojawił się wówczas, gdy stopień oświaty wzniósł się na Litwie, chwilowo przynajmniej, wyżej niż w którejkolwiek z innych prowincyi Rzeczypospolitej; pojawił się nie nagle, lecz po wiekowych przygotowaniach i próbach, których rezultaty częścią bezwiednie, częścią świadomie odziedziczył, pojawił się w chwili, gdy wielostronnie, lubo z miernym po większej części talentem, występowały szeregi wierszopisów i poetów w jego stronach rodzinnych, wśród tych samych okoliczności zewnętrznych i pod jednakowym wpływem atmosfery duchowej. Mickiewicz pozostawił daleko po za sobą nietylko tych współrodaków swoich, którzy na tej samej, co on występowali widowni, nie tylko spółczesnych sobie w innych dzielnicach kraju, ale wogóle wszystkich, ja cy byli przed nim i po nim; nie odrazu jednakże I on musiał przechodzić przez stopnie rozwoju, zanim doszedł niedościgłej dotąd wyżyny: jako jednostka przestępował je szybciej, aniżeli kraj, w którym się urodził; wieki dla niego przemieniały się w lata, ale w każdym razie ominąć ich nie mógł, gdyż jak wszyscy ludzie, tak i najwięksi nawet geniusze prawom organizmów ulegać muszą. Zadaniem zarysu niniejszego nie jest rozwiązanie zagadki geniuszu (którą przy dzisiejszym stanie nauki, przyjąć trzeba poprostu za fakt, którego wyjaśnić naprawdę jeszcze nie potrafimy), ale tylko wskazanie tych faz kolejnych, w jakich geniusz Mickiewicza na zewnątrz się objawiał, oraz warunków, śród których one następowały po sobie."

W słowach tych streszcza autor zadanie swego dzieła, a trzeba przyznać, że je wypełnił znakomicie. Nie mówimy tu już o nieobliczonem bogactwie szczegółów i faktów, z niesłychaną przezeń zebranych skrzętnością, więcej jeszcze podziwiać musimy dziwnie piękny, artystyczny, rzeklibyśmy, ich układ, dzięki któremu postać poety, jak żywa, wstaje przed nami w równie żywem, barwnem, poruszającem się nieledwie przed oczami czytelnika otoczeniu spółczesnem. Dzieło całe rozpada się na cztery księgi: I. Na Litwie, II. W Rossyi, III. Podróż po Europie, IV. Osiedlenie się na obczyźnie, w których autor objął całokształt życia wielkiego pieśniarza od igraszek dziecięcych, aż do smutnego zgonu w Konstantynopolu. Jest to życiorys klasyczny, w całem tego słowa znaczeniu, porównalibyśmy go chyba tylko ze słynną biografią Getego, przez Lewesa napisaną. Teraz brak nam już tylko podobnie wyczerpująco i bez zarzutu wykonanego studyum o dziełach Mickiewicza; gdy takowe będziemy mieli, nie będziemy się już przynajmniej co do autora „Wallenroda", potrzebowali rumienić, że wielcy nasi poeci należytego zbadania i oceny w kraju doczekać się nie mogą.

II.

O ile „Adam Mickiewicz" jest pracą bezwarunkowo dobrą i tylko *jalousie de métier* skłaniać może do przyczepiania się do pewnych nieznaczących niedokładności w drobiazgach, o tyle drugiemu wydaniu „Zarysu literatury polskiej z lat ostatnich", jakkolwiek zawiera ono wiele bardzo cennego materyału, pewne słuszne zarzuty z całą bezstronnością zrobić można. Przedewszystkiem, za wadę uznać stanowczo musimy to, co już w pierwszem wydaniu tej książce zarzucano, a czego w drugiem, autor nie wziął dostatecznie pod uwagę, mianowicie, brak spokoju, umiarkowania i powagi, nie dość beznamiętne stanowisko, z jakiego wydawano sądy o starciu dwóch przeciwnych prądów i stronnictw. Ten brak spokoju uwydatnił się zwłaszcza w dodanych w drugiem wydaniu gwałtownych wycieczkach przeciwko młodo-konserwatystom.

Nie zmniejsza tej wady usprawiedliwianie się autora w przedmowie do drugiego wydania, iż „nie pisał *dziejów* literatury okresu, który jest dopiero w początkach swoich, lecz zarys mający cechę publicystyczną", objektywizm i umiarkowanie są zaletą nietylko dziejopisarza, lecz i publicysty.

Główną różnicę między pierwszem a drugiem wydaniem, stanowi w dwójnasób prawie powiększony dział: „Osoby i dzieła". I ta jednak połowa książki nie jest bez zarzutu. Daje się tu uczuwać pewna dorywczość pracy, będąca powodem wielu niedokładności, braków, oraz ogólnej nieproporcyalności w sądach i ocenach. Robi to wrażenie jakby masy oderwanych sprawozdań i recenzyi, powycinanych tu i owdzie z rozmaitych czasopism i posklejanych naprędce w jedną całość. Wrażenie ztąd wynika nader ujemne.

Pomimo wad tych jednak, książka ta, jako zawierająca masę materyału, bądź co bądź jako tako usystematyzowanego, ma, jak wspomnieliśmy wyżej, wartość niepospolitą, zwłaszcza, że do dziś jest ona w swoim rodzaju jedyną.

Piosenka.

Ej, nie wierzę ja dziewczynie,
Nie wierzę,
Boć i kocha ona śładnie
Nie szczerze.

Sercem miota i szamoce
Na żarty,
Wciąż z niem sobie igra niby
W grze w karty.

Kłamie jej buzia figlarna
I serce,
Z uczuciami usta w ciągłej
Rozterce,

Oczy lśnią się, ale patrzą
Nie szczerze,
Ej, nie wierzę ja dziewczynie,
Nie wierzę!

Ursyn.

MICHAŁ DUNIAK.

NOWELKA

Maryi Konopnickiej.

(Dalszy ciąg.)

Uriel, któremu Hana powierzyła te myśli swoje, nie zdawał się być uniesiony w tym samym stopniu, co żona jego; nie odradzał atoli i milczeniem przyzwalał.

Przybrawszy się tedy w jedwabną, szeleszczącą suknię i w czepiec z żółtemi wstęgami, ruszyła Hana do miasteczka, pełna najświetniejszych nadziei.

W miarę jednak, jak się zbliżała do celu swej drogi, ogarniało ją zakłopotanie jakieś, przeczuwała zapytania drażliwe, na które wolałaby nie odpowiadać. Przede drzwiami już samemi, zawahała się niemal i kto wie, jaki wycieczka ta miała by koniec, gdyby nie zjawienie się Mendla Szajnermana, starszego z kahału, który też do rabina szedł.

Mendel otworzył drzwi i Hanę przed sobą puścił.

— Do rabina? — zapytał ścicha.

Hana skinęła głową.

Mendel dyskretnym był; pierwszą stancyę w milczeniu przeszedł i już miał Hanie drzwi drugie otworzyć, gdy nagle przypomniał coś sobie, za rękę chwycił ją, wstrzymując i sam poszedł przodem.

Bawił długą dość chwilę. Gdy wyszedł wreszcie i Hanę wpuścił, rabin nie czekając jej odezwy rzekł:

— Sierotę macie u siebie?

— Nu, tak — odpowiedziała Hana.

— Chłopiec to chrześciański jest — dodał rabin — a ty nie będziesz mieć dzieci, póki on w domu.

Hana klasnęła w ręce. Przeczucia jej nie były więc daremne.

Zdawna nienawidziła chłopca tego, instynktem czując w nim przeszkodę do szczęścia swego. I oto wszystko się sprawdziło.

Tyle lat, tyle lat straconych! Mogłaby już mieć z tuzin mniejszych i większych bachorków. Och!

Myśli te błyskawicą przez mózg jej przemknęły, stała zafrasowana przy progu, czekając jeszcze, spodziewając się rady.

Lecz siwy, zaschły starzec ten, który nad wielką, rozłożoną księgą, pochylił głowę na obu białych, delikatnych dłoniach, zapomniał już może nawet o obecności kobiety.

Postawszy więc chwilę jeszcze i widząc go tak zadumanym głęboko, na palcach wyszła i nieprędzej, aż znalazłszy się w ulicy, frasunkowi swemu ulżyła ciężkiem westchnieniem. Usunąć chłopca z domu, wydało jej się rzeczą łatwą bardzo i nie nad tem też myślała bynajmniej; lecz te stracone lata, te dzieci, które przedstawiała sobie tak żywo

i uważała prawie za odebrane, za wydarte sobie, to wszystko burzyło ją niezmiernie.

To też wróciwszy do farbiarni, rozpłynęła się w wymówkach, we łzach, w narzekaniach.

Uriel słuchał zrazu nic nie rozumiejąc, gdy wreszcie pojął o co chodzi, porwał się i wybiegł z izby.

Stało się więc to, czego się tak bardzo obawiał.

Odbiorą mu dziecko jego! dziecko jego mu odbiorą!

Za głowę się chwytał i chodził jak obłąkany. Michałka nie było w domu.

Razem z innymi chłopcami z miasteczka, pobiegł on przypatrywać się tratwom, które zaskoczone nagłym mrozem, u brzegów stały, nie mogąc wyruszyć srebrną swoją drogą.

Widok rzeki był smutny, gnębiący jakiś.

Nie zdążyła ona uciszyć, wygładzić wód swoich jesiennych, do których długie deszcze nie jedną mętną czarę dolały, gdy niespodzianie mróz silny ściął lodem wszystkie bruzdy jej zachmurzonego oblicza i brudne piany, noszące się przy brzegach, jak zdarte łachmany.

Nie była to lustrzana szyba, którąby mogła odbić promienie zimowego słońca, ale nierówna, chropowata, wichrami zorana przestrzeń, której zmącone wody jak szły, tak porażone mrozem stanęły; podobne do oblicza gwałtowną śmiercią zmarłego człowieka, które w osłupieniu śmiertelnem zachowało ślady ostatniej walki bytu z nicością.

Wiatr ostry, północny, niósł się po nad rzeką, kłębiąc w powietrzu śnieżne chmury, ktoremi zawlókł się horyzont cały.

Tratwy tuliły się na prawym brzegu rzeki. Było ich kilka. Zdaleka wyglądały jak ptastwo w sidła schwytane. Nad rzeką gwarno było i ludno. Nawet policyant Nr 2 „z papierami" stanął, przyglądając się tratwom. Ludzie mają w sobie coś, co ich popycha do przypatrywania się szkodzie lub przykrości cudzej. Otóż i tutaj nie brak było publiki, która całemi godzinami przysłuchiwała się klątwom i złorzeczeniom Niemca, posyłającego do wszystkich dyabłów tę przeklętą rzekę, która jego drzewo, bez procentu, trzymać zechce może całą, długą, polską zimę.

Rzeka jednak głuchą była na te klątwy. Wody jej murem stanęły, jakby broniąc tych dębów i sosen, które kędyś na brzegach jej wzrosły.

Niemiec pomimo mrozu pocił się, drepcząc na krótkich swych nogach; była to pierwsza spekulacya jego w tym kraju i pierwsze niepowodzenie. Przypatrywał się chmurom, rzece tej, palił krótką fajeczkę i klął w przestankach, spluwając.

Kilku flisaków krzątało się po tratwach, paląc w budkach ogniska; inni pili po szynkowniach podmiejskich, byli i tacy, co w miasteczku rodzinę mieli.

Otóż do tratew tych właśnie pobiegł Michałek. Niezmiernie nęciły go flisacze pieśni i nawoływania się, którym odhukiwał ciemny las jodłowy, szumiący nad Majdanami daleko, wysoko.

Chłopiec w naturze swej miał coś, co go ciągnęło do wrażeń żywych, niezwykłych. We dnie zamyślał się, patrząc w las ciemny, albo w głębię rzeki; nocą zasłuchiwał się w ciszy tak, jakby ona opowiadała mu cudowne jakieś powieści.

Późno już było, gdy wrócił do domu zziębnięty, ze śladami rozmarzenia w wielkich czarnych oczach.

Uriel czekał na niego przed progiem. Milcząc chłopca za rękę chwycił i pociągnął za sobą ku chacie Duniaka.

Przeraźliwą była ta pustka zmierzchem zimowym.

Żaden kwiat dziki, nie zakrywał śmiertelnego jej opuszczenia; żaden świegot ptaszy nie przerywał posępnej ciszy; żaden promyk słońca nie ożywiał tych ścian zapadłych, szczerniałych, gdzie nieszczęście i spustoszenie siedzibę swą miały.

Wiatr miotał zapartemi drzwiami, które na jednej tylko zgrzytającej trzymały się zawiasie, okienko drżało, szczękając jakby z zimna resztkami okucia, rozwalony komin przepuszczał mroźne, świszczące podmuchy, które jękiem i skargą napełniały izbę w czasie długich, burzliwych nocy.

Uriel szedł w milczeniu, konwulsyjnie ściskając za rękę dziecko, które dreptało obok niego, zatrwożone czegoś i smutne.

Gdy wreszcie u chaty stanęli, farbiarz pociągnął chłopca ku sobie i rękę mu na głowie położył. Blady był bardzo, usta mu drżały, na słowo zebrać się nie mógł.

Po chwili jednak wzruszenie swoje przemógł i głosem dziwnie miękkim rzekł:

— Nie miałeś ty krzywdy u mnie? Nie był ja dla ciebie zły?

Michałek przytulił się do niego, w oczy mu patrząc.

Westchnął głęboko farbiarz i mówił dalej.

— Odejść ode mnie musisz... do ludzi obcych cię dam...

Chłopcu łzy błysnęły w oczach.

— Nie chcę do obcych... nie chcę!... — zawołał przerożony niemal.

Farbiarz pochylił się do niego.

— Trzeba — mówił głosem wzruszonym, głębokim — ja nie rad dam ciebie... ale trzeba, będziesz ty mnie pamiętał?

I nagle dziecko w ramiona chwyciwszy uniósł je i o pierś swą oparł, a okrywając pobladłą jego twarzyczkę pocałunkami, szeptał namiętnie:

— Ojcem ci chciałem być... nazwij mnie ty ojcem...

Była chwila milczenia, w której można było słyszeć głośne, wytężone bicie serca i przerywany oddech farbiarza.

Michałek ręczyny koło szyi mu zarzucił, głowę mu na ramieniu sparł i jakby ulegając potrzebie sierocego serca, przemówił ścicha:

— Ojcze!

Zaniósł się łkaniem żyd, dziecko na ziemi postawił, a podniósłszy twarz bladą ku zachmurzonym niebiosom poruszał ustami, jakoby w modlitwie.

Po chwili opamiętał się, chłopca na rękę wziął i do farbiarni zwolna powracał.

Gdy ich tak razem idących obaczyła Hana, która na progu stojąc wyglądała męża, zatrząsł nią gniew wielki, źrenice jej błysnęły żółtem, fosforycznem światłem, usta wązkie drgnęły, nozdrza poruszyły się gwałtownie. Na razie jednak opanowała się jakoś, w chwilę dopiero później, razem z wieczerzą rzuciła chłopcu przez ostre, białe zęby swoje, kolący wyraz: „znajdek". Tej zemsty nie mogła sobie odmówić. Dosłyszał go Uriel, płomienie przeleciały mu po twarzy, łyżkę którą już do ust niósł, precz odrzucił, wstał, odsuwając gwałtownie stołek i wyszedł z izby nieprzytomny prawie. Widocznem było, że chłopiec musi ustąpić z domu. Walka nie mogła przeciągać się dłużej.

Większą część nocy chodził nad rzeką Uriel zadumany, Hana zaś niespokojnie przewracała się na łóżku, dziecko tylko, zmęczone i spłakane, usnęło snem cichym, głębokim.

Nazajutrz farbiarz rzekł pierwszy:

— Namyśliłem się, chłopca do ślusarza oddam, uczciwy to człowiek, krzywdy mu nie zrobi.

Hana w milczeniu i obojętnie na pozór wiadomość tę przyjęła. Z gorączkowym jednak pośpiechem, zaczęła zbierać manatki chłopca, wiążąc je w węzełek, jakby jej pilno było wyprawić go choćby natychmiast.

— Niechno jej zejdzie z oczu ten goj przeklęty — myślała — a wkrótce potem przyjdą jej dzieci, jej własne małe i duże dzieci.

I rozpływała się w sobie słodyczą niezmierną tej nadziei życia swego.

Tymczasem, wolnym, poważnym krokiem, szedł do farbiarni starszy kahału Mandel Szajnerman.

Był to gość tak niezwykły, że na widok jego Hana krzyknęła głośno, Uriel skinął głową, dotknięty przykrem uczuciem zbliżającej się katastrofy.

— Przychodzę wedle waszego chłopca — rzekł Szajnerman po kilku wstępnych wyrazach — sieroty — dodał z uśmiechem wzgardliwym.

Hana zamigotała oczami, ścierając fartuchem najbliższe krzesło dla gościa.

— Ja we Wrocławiu mam znajomego felczera— mówił dalej starszy kahału, siadając na podanem krześle — nu, tak on rychtyk potrzebuje takiego chłopca jak wasz.

— Na drogę pieniądze się znajdą, niech jedzie.

Uriel wargę przygryzł i milczał. W propozycyi tej poczuł chłodne ostrze niecofnionego wyroku, tak właśnie, jak nieszczęsny seraskier czuje śmiertelny węzeł na obnażonej szyi, gdy mu z uprzejmem pozdrowieniem i życzeniami szczęścia, sułtan przyśle sznurek jedwabny.

Zdobył się jednak biedny człowiek na energię obrony i rzekł:

— Nie, nie chcę, żeby do Wrocławia jechał i u felczera był. Oddam go tu w mieście do ślusarza.

— Co? tu? — zadziwił się Szajnerman — ja ze starszymi kahału gadał i z rabinem gadał i oni powiedzieli, co chłopiec daleko jechać ma.

— Trzymać go u siebie nie będę — odrzekł farbiarz — ale gdzieś między obcych nie dam go też.

— Goebel — rzekł tonem napomnienia Szajnerman — ty z kahałem wojny nie zaczynaj, ty Bogu dziękuj, że się to tak skończy, a chłopca oddaj.

Uriel poczerwieniał, ta groźba dotknęła go do żywego.

— Co mi tam kahał! — zawołał namiętnie. — Wycierpiałem tyle, wycierpię i więcej, a chłopca na stracenie nie dam.

— Jakie stracenie? co za stracenie? — począł szybko Szajnerman. — Co to gadać takie głupstwa?

A widząc, że farbiarz padł wyczerpany na stołek i milczy, dyplomatycznie zwrócił się do Hany i rzekł:

— Nu niech się mąż namyśli, ja przyjdę jutro.

I skinąwszy głową, wyszedł, z powagą wielką przez podwórze krocząc.

Kiedy przechodził koło szopy, ujrzał Mowszę, rozmawiającego z parobkiem farbiarza. Nagła myśl jakaś zaświeciła mu w oczach. Skinął na wzgardzonego żyda i szedł z nim, już nie w stronę miasteczka, ale wzdłuż rzeki, po samotnej drożynie, żywemi gestami porozumiewając się w długiej i cichej rozmowie.

W izbie tymczasem, wybuchnęła Hana potokiem wymówek, łez i narzekań. Uriel wsparłszy głowę na ręku, jak ogłuszony za stołem siedział. Wszystko więc skończyło się dla niego. Jedyny promyk jego życia zagasa. Odtąd stanie się on własnością wyłączną tej kobiety niekochanej, która w tej chwili odrazę w nim prawie budziła, dusza jego nie będzie miała gdzie ulecieć, przytulić się, wypocząć. Wszystko się skończyło!

W goryczy cierpienia zdało mu się, jakoby słyszał głos jakiś stary, drżący, złamany, który go po przepaściach wieczności przeklina. I zdało mu się, jakoby słyszał głos drugi, słodki, niewieści, błagający o przebaczenie dla niego. I dusza mdlała mu w piersi, a z oczu przez palce trysnęły łzy i tak w rozmyślaniach boleści pełnych, trwał aż do zmierzchu. Dopiero wieczorna cisza zbudziła go z zadumy.

Nazajutrz, wczesnym rankiem Szajnerman na farbiarnię powrócił. Twarz jego jednak, nie miała w sobie tej powagi, spokoju co wczoraj. Przelatywały po niej jakieś nagłe cienie i błyski, oczy jego rzucały się szybko z przedmiotu na przedmiot, usta zmuszały się do uśmiechu. Wczoraj przyszedł z czołem wzniesionem wysoko, dziś skradał się niemal. Zdawało się, że długa rozmowa z Mowszą zostawiła jakiś ślad brudny na jego czole,

Zmieszany był ale przyjacielski bardzo.

— No — zawołał od progu zaraz—dzisiaj zgodzimy się pewno. Ja trochę ustąpię i wy też trochę ustąpicie. Byłem u rabina—tu zajęknął się—chłopiec w mieście może zostać, ale nie u ślusarza. Niech nie będzie ani mnie, ani tobie, jak ten powiada.

Odsapnął kilka razy głośno i przy stole usiadł.

— Ja wam co powiem — rzekł. — Stary Hersz na szlabanie potrzebuje chłopca takiego, głuchy jest, ludzie wołać muszą i stać, robota łatwa i we dnie tylko, bo nocą mało kto teraz jeździ. Jeśli chcecie teraz zgodę zrobić, tam go dajcie, choćby dziś.

Uriel po walce, jaką przebył sam z sobą, czuł się zupełnie przybitym, złamanym, energia jego wyczerpaną była. Propozycyi tej nowej słuchał w milczeniu.

Hersza starego znał iż uczciwym człowiekiem był, warunek oddalenia, który mu najcięższym się zdawał w tej kombinacyi miejsca już nie miał. Zresztą, jeśli tęsknota zbyt silną będzie, on może sam farbiarnię te rzuci, chłopca swojego weźmie i w świat z nim pójdzie. Ze szlabanu łatwiej to jeszcze jak zkądkolwiek.

Pomyślał chwilę a potem rzekł:

— Niech będzie! — I zamilkł wpadając znowu w ponurą zadumę.

Szajnerman, który z wytężeniem na odpowiedź czekał, odetchnął głęboko i za chłopcem się po izbie obejrzał.

Spostrzegła to Hana i zawołała Michałka, który w sieni motowidło strugał.

Chłopczyna wszedł i piękne swoje oczy na gościa podniósł.

Uriel spojrzał na niego i z stłumionym jękiem ręce załamał.

Starszy kahału otworzył usta, zahłysnął się, ślinę przełknął i oczami błysnął kilka razy, jakby tego ufnego dziecięcego wejrzenia znieść nie mógł. Przystąpił wreszcie do niego a gładząc go po głowie, swoją dużą, białą ręką, rzekł:

— Michałek, a chcesz ty do szlabanu iść?

Chłopiec na farbiarza spojrzał, a widząc go tak bladym i streskanym rzekł ścicha:

— Czy to ja już koniecznie mam ztąd iść?

Uriel głosem zagasłym powtórzył jak echo.

— Koniecznie!

Chłopczyna zawahał się, a potem rzekł:

— Kiedy tak, to mi wszystko jedno gdzie, pójdę do szlabanu.

— A kluger Bube!—szepnął Szajnerman z przykrym uśmiechem.

Hana krzątała się po izbie, ukrywając swą radość, z tego pomyślnego obrotu sprawy; była tak uszczęśliwiona, że stojącemu przy drzwiach chłopcu dała kawałek piernika, przygotowanego dla gościa.

Szajnerman chwilę jeszcze bawił, przedstawiając szczegóły swego projektu.

Stanęło na tem, że farbiarz dziś jeszcze odprowadzi Herszowi chłopca i że nie częściej jak raz w tydzień widywać go będzie.

Zaczęła się tedy dla biednego naszego chłopczyny, druga faza sieroctwa, cięższa stokroć i smutniejsza niż dotąd.

Wygnańcem się czuł i opuszczonym i pierwszą gorycz łez tutaj poznał. Dzieckiem był jeszcze drobnem, potrzebował rozwijać się w cieple uczucia, jak piskle w puchu.

A tu wyrzucono go zimą z gniazda jego i pozostawiono z tym już wpół zastygłym starcem, który dnie całe milczał drzemiąc, a wieczorem rozpoczynał swoje żałobne rozdzierające duszę modlitwy, przy odgłosie których sierota zasypiał snem gorączkowym, niespokojnym, męczącym.

Przyroda nie dawała mu teraz pociechy żadnej. Jesienne wichry przestały huczeć nad Majdanami leśnemi. Czarny bór stał niemy i martwy, ostrą linią odcięty od śnieżnej płaszczyzny. Obumarła rzeka nie porywała już oczu ciemną głębią wód swoich, pusto na niej było i cicho, żadnego szumu, żadnego pluśnięcia, ni wiosła, ni rybki, ni skrzydeł jaskółczych.

Chłopcu zdawało się, że mu dusza kona wraz z tem bladem, stygnącem słońcem, które rozproszywszy chmury, zaczynało się ukazywać na kilka chwil znikomych.

Jedyną rozrywką jego oczu były konie i tratwy stojące u brzegu.

Konie lubił bardzo. W domu jeszcze stara szkapa Uriela była przedmiotem jego tkliwych starań, chociaż boki jej zapadłe, nigdy się jakoś wyglądzić nie mogły, a dychawiczny kaszel nie opuszczał jej ni zimą, ni latem. Teraz widział piękniejsze, głośno parskające, rzeźkie koniki, a jednak tęsknił do biednego, zapracowanego zwierzęcia, któremu niejeden pokos trawy, drobne jego ręce podały.

— On jest w domu! — myślał z zazdrością niemal.

Tratwy przestały już być przedmiotem ciekawości miasta. Niemiec przekląwszy polską zimę, dawno odjechał zostawiając pisarza, który wprawdzie za szkodę w drzewie odpowiedzialnym był, ale chętnie wyręczał się wartownikiem, sam w miasteczku bawiąc, gdzie organiścinie na harmonii rad wygrywał. Flisacy rozproszeni rzadko tu zaglądali, wrony gospodarzyły dzień cały, napełniając krzykiem powietrze; nocą ciemność padała głęboka odbita od ogniska, które wartownik rozpalał z wieczora.

Chłopiec patrzył na tratwy i dziwny smutek przejmował mu duszę. Czuł się tu przykutym, jakby urokiem jakimś tajemnym.

Uriel przybiegał wprawdzie wieczorami wbrew umowie swojej ze starszym kahału, ale cóż to znaczy wobec całych dni tęsknoty! Kilka zmieszanych pytań i odpowiedzi, kilka pocałunków, kilka łez i to już wszystko!

Zresztą dwa czy cztery razy napotkał na drodze swojej Mowszę, który po tratwach się snuł, flisów wódką częstując, mógł go widzieć z chłopcem.. trzeba się było strzedz i uściśnieniom dziecka wyrywać niemal.

Tak przeszły dwa długie tygodnie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TEODORA

KOMEDYANTKA I IMPERATOROWA.

DRAMAT HISTORYCZNY W 5 AKTACH.

PRZEZ

Watts Phillips, Esquir.

PRZEKŁAD

J. B.

AKT CZWARTY.

(Dalszy ciąg.)

SCENA II.

(Zejście do tajemnych więzień pałacu bizanckiego. W perspektywie widać długi szereg krętych schodów otoczonych niską balustradą. Dekoracya ta powinna wywierać przerażające, grobowe wrażenie, sprzecznie z przepychem i blaskiem jakiemi odznaczała się poprzedzająca.)

NARSES (stojąc nad zejściem). Ebal! Ebal! (Schodząc powoli, z pochodnią w ręku.) Gdzie się kryje mój towarzysz topora i stryczka? Zimno tu panujące przejmuje mnie dreszczem, nieznośna miejscowość!... Tam w górze bitwa i wrzaski, tu grób lodowaty. Ebal!... Ebal!... Gdzież on u licha być może? (Schodząc niżej.) A! otóż tam śpi... Ha! każdy ma swój gust... Co do mnie, nie chciałbym tu zasnąć, z obawy, że mógłbym się nie przebudzić... (Schodzi niżej i zatrzymuje się przy drzwiach, które balustrada zakrywa widzom. Wstrząsa pochodnią, aby ją rozpalić i wtedy blask padający od niej oświetla framugę a w niej czarną postać Ebala, który wydaje się czarniejszym jeszcze, przez odbicie od ozdabiających go ozdób miedzianych.)

EBAL (podnosi topór, ale opuszcza go, poznając Narsesa). Czy ty myślisz, że czarny człowiek zbudowany jest z żelaza?

NARSES. Cicho! cicho! nie zapominaj o uszanowaniu należnem zwierzchnikowi. (Potrząsa pękiem kluczy.) Oto moje dowody uwierzytelniające.

EBAL (z niedowierzaniem i patrząc na dół). Chcesz widzieć więźnia?

NARSES. Wszystko w swoim czasie (Zakłada głownię w obręcz przytwierdzoną do muru i siada na kamiennej balustradzie, przekładając nogę przez wierzch, a jednocześnie światło pochodni oświetla całą postać wspartego o ścianę Ebala, który przygląda

się ostrzu swego topora. Narses wstaje oglądając się dokoła.) Co to za dziwny odgłos?

EBAL. Szmer wody spadającej ze ścian i od sklepienia. Mógłbym powiedzieć ile kropli spada w ciągu dnia; gdy jestem sam, liczę je często dla rozrywki.

NARSES. A kiedyż to nie jesteś sam?

EBAL. O! widać, że jesteś jeszcze nowicyuszem na tym urzędzie. (Ostrzy spokojnie topór o balustradę.) Rzadko kiedy pozbawiony jestem towarzystwa i to jak najlepszego. Przychodzą i odchodzą, tu dostają się drzwiami, a ztąd wprost do Bosforu.

(Wybucha śmiechem i dalej zawzięcie ostrzy topór.)

NARSES (wstając). A dajże temu pokój! drażni to tak, że aż zęby dzwonią... która godzina?

EBAL. A zkądże mogę wiedzieć? Wszystko tu jedno czy południe czy północ. Cóż tam nowego na świecie?

NARSES. Eh! nic nowego! najzwyklejszy bunt. Przybędzie ci wielu gości.

EBAL. Mniejsza o to, jest tu dość miejsca, a gdyby go brakowało, potrafię je zrobić. (Wskazując topór.) Przez te parę dni, panowało bezrobocie i ręka mi sztywnieje z powodu braku ruchu.

NARSES. Dzielny z ciebie współtowarzysz. Żyjemy dziś w wieku słabego ducha, niejeden pobladłby jak kobieta, patrząc na kilka kropel krwi, która przecież dawniej płynęła strumieniami po piasku areny. Ojciec mój był szermierzem cyrkowym i gdyby nie głupi ów edykt, którym zniesiono igrzyska ludowe, byłbym poszedł za jego przykładem, bo stokroć milej godzić w ciało ludzkie, niż męczyć się nad kuciem żelaza lub stali.

EBAL. Słyszałem o ojcu twoim, był to Rzymianin, rzeźnik Narses.

NARSES. Cały Rzym znał go i mówił o nim. A! jakiż był piękny, gdy nozdrza jego krwią nabiegły!... Przez Marsa... chciałem powiedzieć przez świętego Mateusza, był on więcej tygrysem niż człowiekiem, a jakaż to chluba dla syna mieć takiego ojca!

EBAL. Czy skończył życie w cyrku?

NARSES. A ma się rozumieć! Czyżby taki jak on człowiek chciał umierać w łóżku? Byłem tam z matką i trzema memi braćmi, gdy zabiwszy trzech przeciwników, poległ z ręki czwartego, który mu zadał cios śmiertelny. Zdaje mi się, że słyszę jeszcze wycie i krzyki niezliczonego tłumu, gdy z twarzą oblaną śmiertelnym potem, powiódł gasnącym wzrokiem po amfiteatrze, zatrzymując wzrok na cesarzu. Wtedy wyrywając z ciała swego żelazo, które wydarło mu życie, wstrząsnął niem po nad głową swoją z krzykiem, który cały tłum powtórzył i padł ciężko na twarz, jak wół w szlachtuzie. Był to chlubny dzień dla nas i matka dała nam po dwie miarki honorowego wina, jakie z powodu tej okoliczności prefekt przysłał jej ze swej własnej piwnicy.

EBAL. Musiała to być dzielna kobieta?

NARSES. O! tak, i gdyby była mężczyzną, byłaby pewnie chlubnie walczyła w arenie. Uniesiona gniewem, jednem uderzeniem rozbijała deski. (Zdejmując kask.) Patrz na tę głęboką bliznę? Powstała ztąd iż matka uderzyła mnie raz bokiem ręki a przecież miałem grubą czapkę. (Kładąc kask.) O! podobną matką nikt pochlubić się nie może!

EBAL. Czy długo opłakiwała stratę twego ojca?

NARSES (pogardliwie). Ona miałaby płakać! W tydzień po jego śmierci zaślubiła Leonidasa, greka gladyatora.

(W górze daje się słyszeć przeciągły świst.)

NARSES (prędko wyjmując pochodnię). Jest to sygnał. Cesarzowa!

EBAL. A! rozumiem... ten chłopiec.

NARSES. Jakże się on miewa?

EBAL. Jak prawdziwy mężczyzna. Przed godziną zostawiłem go śpiącego spokojnie.

NARSES. Trzymaj pochodnię. Cesarzowa idzie!

(Narses wchodzi na schody i znika. Słychać odgłos opadającego łańcucha i otwierających się drzwi. Pokazuje się znów i schodzi, poprzedzając Teodorę osłoniętą płaszczem; twarz jej jest mocno oświetlona, jak gdyby trzymano pochodnię nad jej głową.)

TEODORA (zatrzymuje się nagle, gdy spojrzenie jej padło na Ebala, który zszedł i widać go od pasa, trzymającego pochodnię. Do Narsesa). Widziałam już kiedyś tego towarzysza twego. Kto to jest?

NARSES. Kat.

TEODORA (zadrżawszy). Każ mu odejść; sam jego widok przeraża.

(Znikają.)

SCENA III.

(Teatr przedstawia wnętrze wielkiego więzienia. Sklepiona sala wspiera się na ogromnych filarach. Filip przykuty jest do jednego z nich po prawej stronie. Leży śpiący na prostej ławie kamiennej. Twarz jego oświetla światło padające od żelaznej lampki. Schody w głębi prowadzą na galeryę.)

(Przy drzwiach tej galeryi dziwny jakiś szmer słyszeć się daje; Ebal ukazuje się z pochodnią. Za nim idzie Teodora, sama, schodząca ze schodów. Narses stoi przy drzwiach z pękiem kluczy. Scena przedstawia ponury obraz. Teodora, osłonięta ciężkim płaszczem, posuwa się powoli za niosącym przed nią pochodnię Ebalem. Zatrzymuje się chwilę przy śpiącym. Przypatrzywszy mu się bacznie, prawie z przerażeniem, skinęła ręką, Ebal skłoniwszy się wyszedł cicho z Narsesem.)

TEODORA (posuwając się cichutko). I to ma być wróg mój! to dziecko, które przysłano tu odegrać rolę pocałunku Judasza! (Przyglądając mu się uważnie.) Jak spokojnie śpi. (Ogląda się wokoło i zadrżała mimowolnie.) Jakże to ponury i straszny pokój sypialny dla pragnących snów miłych!... Uśmiecha się we śnie, a jak słodkim uśmiechem! (Cofnąwszy się o kilka kroków, przesuwa ręką po czole, jakby zgnębiona przykrem wspomnieniem.) Zdaje mi się, że jest to jakby błyskawica przypominająca mi przeszłość. (Znów się przysuwając.) Około ust widzę linie nakreślone cierpieniem, widzę smutek rzucający cień na tę twarz świetlaną. (Westchnęła, głos jej zadrgał litością.) Dla ciebie, chłopczyno, życie ciężkiem rozpoczęło się przejściem... Jaki on piękny! gdyby syn mój żył nie mógłby wydawać mi się piękniejszym... Mój syn! mój syn! (Słowo to powtarza z pewnym zachwytem, jakby przygłuszonym szeptem.) A jeźli on jest tym za kogo się podaje?... O! wtedy (z głębokiem uczuciem) wtedy nie byłoby ani mnie, ani ciebie... (Jeszcze tkliwiej, wyciągając ręce do śpiącego.) Wtedy zjednoczylibyśmy się tak z sobą, iż w obojgu byłaby jedna dusza!... (Odzyskuje zimną krew, uśmiecha się szydersko.) Cóż to znów za dziwne rojenia!

FILIP (poruszając się we śnie). Kreonie! Kreonie! o ja wiem, że ty mnie nie opuścisz.

TEODORA (na te słowa oczy Teodory zaiskrzyły się, prostując się przybrała surową i wyniosłą postawę). Kreon! Kreon! śmiałek, który chce dorównać Tytanom i wypowiada wojnę bogom. Ale ciosy jego przeciw niemu się zwracają. Skała, którą chce podnieść opadnie, przygniatając jego samego i jego zamiary. (Waha się chwilę; poczem podnosząc głowę, prawą ręką zdaje się odsuwać jakąś wątpliwość.) Wyrzuty sumienia, nie znam ich!... litość precz odtrącam. Serce moje jest dyamentowe. (Wyciąga rękę jakby ujmując berło.) A ręka żelazna. (Ze ściągniętemi brwiami wraca do Filipa.) Bunt szerzy się i wzmaga, podczas gdy Kreon rozgłasza tę potwarz, której zaprzeczyć trzeba. (Prędko postępuje na scenie kilka kroków, jakby chcąc przywołać kogoś; poczem zatrzymuje się i wraca do Filipa jakby mimowolnie, ulegając jakiemuś magnetycznemu wpływowi.) Tak, szalbierstwo powinno być ukarane. (Z tryumfalnym ruchem.) Mam go w swej mocy i dlaczegóż nie miałabym ugodzić Kreona własną jego bronią, zmuszając agenta jego (wskazuje Filipa) do wydania jego oszustwa. Zbyt młody to chłopiec aby miał własne poświęcać życie dla podtrzymywania niecnych zamiarów Kreona, musi być dumnym i żądnym wyniesienia... (Z coraz żywszem podnieceniem.) Mam go! jest w mej mocy, przez próżność czy przestrach uczyni co zechcę. (Dotyka śpiącego.) Zbudź się! wstawaj! czas nagli!...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TEATR.

Pojedynek bez przeciwnika. Komedya z francuzkiego tłomaczona.

Farsa ta a raczej głupstewko bez treści, wiązka scen powiązanych z sobą, poszywanych, połatanych, ot jak Bóg dał, aby tylko w szacie jego szumnie nazwanej komedyą, dziury, szwy i łaty nie były zbyt widoczne, niebardzo wybrednych a łatwych do śmiechu może zabawić i rozśmieszyć, ale wybredniejszych z pewnością pustką swą znuży i potężnie wynudzi.

Rzecz bardzo zwyczajna... niewierność.

Młody człowiek bałamuci żonę swego zwierzchnika, przez którego przydybany pod drzwiami niewiernej małżonki, dla usunięcia podejrzeń układa historyjkę o pojedynku nieistniejącym i prosi przystrojonego w rogi niemrawca na sekundanta. W następnych przeto aktach odbywają się poszukiwania przeciwnika, w których młody człowiek stara się unikać osób dla których ma różne obowiązki grzeczności i uszanowania, a właśnie takie tylko spotyka.

Ztąd zabawne wypadki i zdarzenia: dość naciągane i nieprawdopodobne, ale i dość komiczne, i w nich to uwodziciel daje przyszłemu swemu teściowi policzek, bije się z bratem mlecznym najżyczliwszym dla niego, ten znów przypadkiem rani sekundanta a którym jest mąż niewiernej małżonki. Biedak więc przy rogach, jakiemi go podwła-

dny przyozdobił, dostaje postrzał w nogę, jak to zwykle zdarza się w świecie, gdzie guz już jeden tam drugi zaraz wyrasta.

Otóż i rzecz cała na tem się kończy. Słuchacze w krzesłach i w lożach wychodzą niezadowoleni, paradyz wrzeszczy brawo, że aż w uszach dudni, cieszy się tłomacz, że capnął kupkę rubelków, a krytyka gazeciarska sprawia cięgi reżyseryi za wybór utworu wepchniętego gwałtem na scenę teatru małego.

I dogódź tu ludziom choćbyś pragnął tego najgoręcej.

Grze artystów nic zarzucić nie można, wszyscy jak pp. Śliwiński, Sikorski, Morozowicz, Grubiński, Turczynowicz i p. Czosnowska, grali z życiem wielkiem, ale to do utrzymania sztuki na repertuarze teatralnym nic się nie przyczyni.

RÓŻNE WIADOMOŚCI.

Hypnotyzm coraz bardziej ujmowany w karby naukowych badań, staje się potęgą tajemniczą, z którą już dziś igrać nie należy. Poprzednio donosiliśmy o towarzystwach w Londynie i Paryżu, wyłącznie badaniu hypnotyzmu poświęconych, w których osoby poddane doświadczeniu, spełniały po przebudzeniu się polecenia wydawane im w czasie snu hypnotycznego i to z największą punktualnością we wszystkich najdrobniejszych szczegółach.

Obecnie z kongresu naukowego, odbywającego się teraz w Nancy, donoszą do gazet galicyjskich, iż dnia 12 z. m. d-r Voisin, naczelny lekarz w szpitalu Salpétrière w Paryżu, zdawał sprawę z doświadczeń d-ra Ochorowicza w tymże szpitalu nad zastosowaniem hypnotyzmu do leczenia chorób umysłowych. Przytoczył mianowicie dokładny opis kuracyi, dokonanej pod jego nadzorem na kobiecie 45-letniej, dotkniętej formą melancholii z osłupieniem (mélancolie avec stupeur), zagrożonej śmiercią (litiophobia), w skutek szkorbutu i kilkakrotnych usiłowań samobójstwa. Trzymano ją w kaftanie przymusowym i nadto przywiązano do ciężkiego fotelu z powodu przychodzącej niespodzianie agitacyi maniakalnej. D-r Ochorowicz kazał zdjąć więzy i uśpił ją po próbie z hypnoskopem, przyłożeniem ręki na głowę. Od tej chwili obłęd ustał i wracał już tylko chwilowo. Na rozkaz magnetyzera chora wstała i podtrzymywana przez d-ra Voisina i d-ra Ochorowicza, przeszła przez ogród szpitalny do swojej celi. Na godzinę tylko lub dwie obłęd przerywał sen. Począwszy od pierwszego uśpienia zaczęła jeść, po trzeciem wróciła mowa, a po piątem przytomność. Ile razy przerwano magnetyzowanie, obłęd wracał. Po siedmnastu magnetyzowaniach już nie wrócił. Obecnie chora (nazwiskiem Thiercelin) znajduje się jeszcze na obserwacyi w szpitalu, ale pracuje jako szwaczka w pracowni zakładu. D-r Ochorowicz poddawał próbie z hypnoskopem 70 obłąkanych i twierdzi, że czwarta część może być wyleczona hypnotyzmem. Na odczycie d-ra Voisina (jeden z pierwszych obecnie psychiatrów) obecnych było 500 lekarzy.

Z krótkiego tego sprawozdania łatwo przypuścić wielką przyszłość dla hypnotyzmu. Wprawdzie szarlatanizm i złość ludzka wyzyskiwać go nieomieszka dla zdrożnych swych celów, ale i na to pomału znajdzie się rada.

W Obodówce w Gub. Podolskiej, jak donosi Kuryer Warszawski, z różnych okolic zjechało się do stu osób, a więc gawęda, tany i polowanie. Trzeciego dnia kiedy zabawa była w pełnym rozwoju, nagle w miasteczku wybuchł pożar i ogarnął cztery domy z zabudowaniami do żydów należącemi.

Na wieść o pożarze, salonowa młodzież, która przed chwilą wznosiła toast „kochajmy się” i dawała dowody zręczności na lśniących posadzkach, nie zawahała się ani chwili z daniem dowodu miłości bliźniego i odwagi.

W balowych strojach rzucono się na ratunek pogorzelców, służba poszła za przykładem panów, żydom powróciła energia a piękne panie swą obecnością zachęcały młodzież i niosły słowa pociechy nieszczęśliwym.

Był to prawdziwie budujący widok, gdy z dachów palących się domostw młodzież zrywała słomę wraz z pospólstwem, gdy frak balowy stawał do szeregu między mieszczańską kapotą, a żydowskim chałatem.

Wspólne usiłowania odniosły pożądany skutek, położono tamę szerzeniu się ognia i straty ograniczyły się tylko na owych czterech domach.

Największe uznanie należy się d-wi C., który wyniósł z płomieni wiekową chorą żydówkę, oraz hrabiemu M. S. i jego oficyalistom, którzy z całym zapałem nieśli pomoc nieszczęśliwym.

Straty poniesione przez pogorzelców pokryte zostały w części przez hr. S., który biedakom tym podarował materyały potrzebne do odbudowania pogorzałych domostw.

Pewna panna, córka bogatego przemysłowca, pokochała pana X. młodzieńca z nader skromnem stanowiskiem i bez majątku, co jednak w oczach panny nie stanowiło żadnej przeszkody.

Inaczej wszakże zapatrywał się ojciec, uważając, iż p. X. szuka w małżeństwie jedynie posagu.

Podejrzenie to córka z oburzeniem odrzuciła, a pan X., powiadomiony o przypuszczeniu przyszłego teścia, oznajmił, iż zrzeka się posagu, chcąc tym sposobem zapewnić o swej bezinteresowności.

Ojciec z pewnem zdziwieniem przyjął taką wiadomość rozradowanej córki, a widząc, iż wszelkie perswazye chybiają celu, zgodził się na to małżeństwo, postanawiając przecież zrzeczenie się p. X. przyoblec w formę prawną.

Panna była pełnoletnią, więc stosowny akt mógł zostać spisany.

Uchwalono zatem, iż panna, oprócz skromnej wyprawy, odpowiedniej do przyszłego trybu życia, otrzyma jednorazowo 2,000 rs., mający zaś przypaść w przyszłości majątek będzie tak lokowany, aby tylko dzieci państwa X. mogły go podnieść i to zaraz z procentami po dojściu do pełnoletności.

W razie, gdyby małżeństwo było bezdzietne, majątek przejdzie na innych spadkobierców, lecz nigdy córce zrzekającej się swego działu przypaść nie może.

Taka była mniej więcej osnowa aktu notaryalnego, ułożonego przez dwóch zaproszonych prawników i obwarowanego wszelkiemi zastrzeżeniami prawnemi.

Kiedy p. X. ów akt przeczytał, oznajmił narzeczonej, że to jest poniżającem czynić podobne ustępstwa.

— Ależ sam się zrzekałeś posagu — rzecze ze zdumieniem panna.

— Tak, lecz bez tych ubliżających formalności...

Dalsza rozmowa przekonała nareszcie pannę *** iż owa bezinteresowność była frazesem, a X. widząc przed sobą dokument prawny, którego nigdy nie mógłby zwalić w przyszłości, przedstawił się takim, jakim go ojciec podejrzywał. Małżeństwo naturalnie zostało zerwane, na szczęście młodej dziewicy ale i na wielką jej boleść z tak strasznego zawodu. Lepszy on jednak przed ślubem jak już w pożyciu małżeńskiem.

Narodowa pieśń bulgarska, przy dźwiękach której szli żołnierze do boju pod Śliwnicą i która im wszędzie towarzyszy, brzmi:

Szumi Marica
Okerwawena,
Placze wdowica
Liuto ranena.

Marsz, marsz,
Generale nasz,
Raz, dwa, tri,
Marsz wojnicy!

Wojnicy mili,
Napried da werwim,
Sus siczki sili,
Balkan da minem.

(Szumi Marica zakrwawiona, płacze wdowa okrutnie raniona. Marsz, marsz, jenerale nasz, raz, dwa, trzy, marsz wojownicy. Wojownicy drodzy, naprzód idźmy i wszyscy zwycięzko Bałkan przejdźmy).

Sprawozdawca gazety kolońskiej, który uczęszczał na posiedzenia zgromadzenia narodowego w Sofii, tak o niem pisze: „Bulgarskiego sobrania niemożna mierzyć na skalę europejskich parlamentów. Cudzoziemca nawykłego do widoku czarnych fraków i tużurków, uderza tu na wstępie rozmaitość i jaskrawość strojów narodowych. Bulgarya jest przeważnie krajem chłopów, zatem i na ławach sobrania zasiada wielu rolników w odzieży, w jakiej zwykle chodzą za pługiem.

Mimo to wielu posłów swą postawą, taktownem zachowaniem się i pojęciem obowiązków sprawia korzystne wrażenie, na posiedzeniach panował wzorowy porządek, niemal cisza kościelna. Przerywania i wykrzykniki zdarzały się bardzo rzadko, oklaski i oznaki zadowolenia były umiarkowane, a kierunek rozpraw był dla prezesa niezmiernie łatwy.

Uważałem też, że pod pewnym względem bulgarscy mówcy parlamentarni o wiele wyżej stoją od swych europejskich kolegów, mianowicie mówią krótko i zwięźle, tak, że mowa 15-minutowa należy już do wyjątków. Nie idzie zatem, aby im zbywało na wymowie; przeciwnie przemawiają z wielką łatwością, a nawet chłop nie traci przytomności na trybunie. Widocznie nie chcą marnować czasu na kilkogodzinne szermierki językowe. Oby parlamenta europejskie mogły dojść kiedykolwiek do tej doskonałości!...

Gazety zagraniczne donoszą, iż w Konstantynopolu istnieje ulica nosząca nazwę: „Rue de Pologne.”

Nazwa pochodzi ztąd, iż przy tej ulicy stał niegdyś dom polskiej ambasady. Ostatnim dragomanem przy tej ambasadzie był ormianin Sazpos, który za wierną służbę otrzymał indygenat polski.

Synowie jego żyją do dziś dnia w Stambule i bardzo są dumni ze swego herbu.

Król Humbert włoski otrzymał list następującej treści:

„Kochany panie królu! Słyszałam wiele o pięknej toalecie królowej i radabym ją zobaczyć. Podobno nie ma jej teraz, ale pan masz niezawodnie klucze. Teraz właśnie mam ferye i mogłabym zobaczyć, napisz mi zatem kochany panie królu, kiedy mam przybyć.

Maryetta Leoni, uczenica 5 klasy."

Na ten list odpowiedział król przez swego sekretarza:

„Kochana Maryetto! Król cię pozdrawia i każe ci oznajmić, że mu się taka ciekawość u tak młodej panienki wcale nie podoba. Prócz tego, mimo najlepszej chęci, nie mógłby uczynić zadość twemu życzeniu, gdyż królowa, jako dobra gospodyni, przed odjazdem wszystko pozamykała."

Epizod z manewrów w Alzacyi 1879 roku. Podczas manewrów, cesarz Wilhelm spostrzegł wieśniaka na szczudle, w bluzie, ozdobionego krzyżem legii honorowej i kilku medalami, który ciekawie przypatrywał się wojsku. Żołnierska jego postawa i wyraz twarzy, obudziły ciekawość Wilhelma i przystąpiwszy doń, zapytał go po francuzku, gdzie walczył i utracił nogę?

— Służyłem przez 34 lat w randze kaprala w 2 pułku żuawów, przebyłem 14 kampanii w Algeryi, Rzymie, Włoszech i Meksyku, a nogę straciłem pod Sedanem.

— Przebyłeś wiele, stary zuchu.

— W rodzinie mojej wojskowa, dzielna krew płynie. Ojciec mój walczył przez lat 20 pod Napoleonem I, ja pod Napoleonem III, a mój syn służy Rzeczypospolitej.

— Mogę ci w czem być pomocnym?

— Dziękuję. Mam moją pensyę, jako inwalid, którą regularnie odbieram od mego rządu z Paryża a resztę zarabiam pracą i nie potrzebuję niczyjej pomocy.

— Merci monsigneur — dodał w końcu i salutując, zrobił lewo w tył, nie chcąc mówić dalej.

BULGAROWIE.

W broszurze Remmera o położeniu w Bulgaryi i samych Bulgarach, autor powiada, że wszyscy wykształceni, czy nie wykształceni, dostatecznie są Słowianami, aby mogli zastosować się dokażdej większej nawet zmiany.

Taki naród chłopski prawie utożsamia wolność z metodą zarabianie pieniędzy. To było dla niego głównym celem w przeszłości, w historyi, czy to Turkom stawiali opór, czy innemu rządowi podawali rękę. Dzięki temu, chłop Bulgar nabrał pewnej wprawy, w traktowaniu spraw publicznych. Osman mógł przy każdej sposobności Bulgara zbić, zrabować, zabić, jakkolwiek w ciągu ostatnich trzydziestu lat, takie wybryki muzułmańskie już nie uchodziły, bo konsul rossyjski był zawsze pod okiem.

Tak przez pięć wieków pod panowaniem obcem, gminy przetrwały niezależne i przy całem swem niewolnictwie umiały załatwiać sprawy swe i regulować stosunki na zebraniach publicznych. Członkowie tego ustroju chłopskiego, którzy weszli do nowego zgromadzenia narodowego i stanowili pokaźną większość, wprawni już byli w rozprawach i nie bez pewnego wykształcenia miejscowego w roztrząsaniu obchodzących ich spraw finansowych.

Duchowni bulgarscy wyświęcani przez biskupa, wybierani są przez gminę i opłacani przez jednostki, które potrzebują ich do posług duchownych. Przeważnie są to ciemni chłopi, którzy uprawiają pola jak i inni, a całą wyższość mają w przywileju odprawiania obrządków. O takich rzeczach mówić, jak o cnocie i ludzkości w życiu, byłoby zbyt trudno popom, ze względu na ich brak wykształcenia, jak i ciemnotę parafian.

Kiedy pop ułatwił się przy ołtarzu, już się ze wszystkiem ułatwił, kazania nie ma nigdy. Wpływu na postępowanie ludzi w Bulgaryi nie wywiera żadnego.

Duchowny bulgarski jest zresztą skromnym człowiekiem. Utrzymywany przez chłopa, stara się być dla niego miłym, nie myśli być mu wcale panem duchowym, upominać go, nawracać. Zresztą któryż z chłopów dałby panować nad sobą, nauczać i strofować innemu chłopu, który się różni od niego tylko wyświęceniem, a po za tem niczem.

Specyalnem następstwem tego wszystkiego jest brak wpływu politycznego u duchowieństwa bulgarskiego. Chociażby zdanie patryarchy, mieszkającego w Konstantynopolu, miało jaką sankcyę, popi wioskowi nie są w stanie go rozpowszechnić.

W Bulgaryi więc nie ma ani arystokracyi, ani kleru, ani też wybitnej warstwy społecznej, bogatej i wykształconej, któraby skutecznie oddziaływać mogła na włościan. Jedyną uorganizowaną władzą, są urzędnicy i wojsko.

Co się tyczy finansów, są one w zadawalniającym stanie tak samo w państwie jak w społeczeństwie.

Wydatki wynosiły w 1884 roku 35 milionów franków (zwanych tu *leva*).

Poboru podatków dokonywa wybrany przedstawiciel gminy, dla którego brak wykształcenia szkolnego uniemożliwia branie kwitów, mogących stanowić rękojmię jego uczciwości.

Poborca obchodzi dokoła i patrzy, ile może zebrać, a potem ile może nie oddać.

Z pośród wydatków 13 milionów franków, więcej niż trzecia część przypada na wojsko, 2 miliony na oświatę, 600 tysięcy na listę cywilną i t. d.

Długów Bulgarya nie zaciąga. Kiedy Serbia przy swej skłonności namiętnej do kłótni i wojny zadłużyła się prawie na 260 milionów franków, to jest około 144 franków na jedną głowę ludności, Bulgarya jest od tego jeszcze wolna.

Handel bulgarski, który w 1879 roku wynosił w obrocie 52 miliony franków, wzrósł w 1882 roku już do 90 milionów franków, których zapłata przypada w części na Austryę, Anglię i Rumunię w kolejnym porządku.

Francya zabiera dla siebie produktow bulgarskich za 3 miliony franków.

Z dziedziny humorystycznej.

Z dawnych wspomnień teatralnych przechowuje się także w bamięci stosunek przyjacielski Bielawskiego z Dmuszewskim. Bielawski był pierwszym skrzypkiem w orkiestrze, Dmuszewski, późniejszy właściciel Kuryera Warszawskiego, pierwszym tenorem w operze. Bielawski był wybornym skrzypkiem, Dmuszewski nietęgim śpiewakiem i w tonach wysokich ciął koguta jednego po drugim.

Raz Bielawski przy podobnem potknięciu się Dmuszewskiego, poddał na skrzypcach ton mający być prrez niego wyciągnięty i tym sposobem kogut znacznie został ułagodzony.

Dmuszewskiemu spodobało się to bardzo, ze sceny jeszcze posłał mu mimiczny pocałunek w podzięce, a gdy po przedstawieniu zeszedł się z nim jak zwykle u Poziomkiewiczowej, utrzymującej w teatrze jadalnię, ściskając go za rękę z wielką uprzejmością rzekł:

— Dziękuję ci ślicznie za pomoc koleżeńską, jaką mi dziś wyświadczyłeś. Gdybyś tak chciał ją częściej ponawiać...

— I owszem, chętnie to zrobię...

— Ah! jakże ci będę obowiązany, mój Bielasiu kochany. .

— Zawrzyjmy więc umowę...

— Ja — mówił dalej Dmuszewski niezważając na przerwę — przy wysokim tonie otworzę tylko usta a ty...

— A ty — przerwał Bielawski — nie skrzekniesz jak żaba, mnie w uszach nie zgrzytnie, publiczności nie przestraszysz a sztuka nic nie straci, bo ja smyczkiem dociągnę to, czego ty gardłem nie wymęczysz.

— No, no — odezwał się Dmuszewski — cokolwiek to przesadnie i za figlarnie przedstawiasz, zawsze jednak za tę przysługę koleżeńską...

— Kupisz mi po każdem przedstawieniu jeden kotlecik u Poziomkiewiczowej — domówił Bielawski i ramion podnosząc dodał — jak chcesz, masz wóz i przewóz, albo kotlecik, albo kogucik wydmuchany własnym twym gardziołkiem.

Umowę zawarto i odtąd Bielawski w każdym wysokim tonie ciągnął nutę na skrzypcach za Dmuszewskiego, a ten otwierając usta udawał że śpiewa.

I tak schodził tydzień za tygodniem i zeszło ich sporo w jak najprzykładniejszej zgodzie, aż raz wyrachował Bielawski, że poddawał Dmuszewskiemu ton aż jedenaście razy w jednym jego wieczornym występie.

— Dziś jakoś nie wiodło ci się, biedaku — rzekł smutną minę przybierając. — Gardziołek zawiódł cię jedenaście razy, mam więc u ciebie pięć i pół porcyi kotletów...

— Nie przeczę — przerwał Dmuszewski — ale przecie choć apetyt masz wilczy, toć niepodobna, abyś tyle na raz jeden zbuchał.

— To niech cię to nic nie obchodzi, należy mi się tyle i basta!

— Dwie porcye będziesz miał dosyć...

— Ani jednego kotlecika nie ustąpię, ani połówki jego, ani nawet pół kąska, bo inaczej umowa nasza zerwana...

— Ah! jakiś ty żarłok. Wiem, że nie zjesz tyle.

— A tobie co do tego czy zjem, czy nie zjem?

— No, no, to już ci kupię, przemierzły żarłoku — zawołał Dmuszewski — pięć porcyi czyli dziesięć kotletów...

— Jedenaście! — zawołał Bielawski.

— Ej! nie dokazuj!

— Więc nie kupisz, jeszcze tego jednego?

— Nie kupię.

— Stanowczo?

— Stanowczo.

— Niech cię więc zadepczą koguty! — krzyknął Bielawski, gniew wielki udając z urwania mu w wypłacie jednego kotleta.

Trzeciego dnia nastąpiło wystąpienie Dmuszewskiego. Artysta wychodzi na scenę i rzuca spojrzenie na Bielawskiego, jakby mu baczność przypominał.

Bielawski potrząsa głową na znak czujności, Dmuszewski zaczyna śpiewać, wznosi oczy w górę, przechyla głowę, przychodzi wreszcie chwila krytyczna, tony płyną w górę, Dmuszewski podsuwa się na przód sceny, chwyta się za piersi, wspina na palce i gdy pewny zastępstwa w najwyższem niby uniesieniu z ustami do śpiewu otwartemi milknie, skrzypcom zostawiając dokończenie, Bielawski zamiast go zastąpić trzyma najobojętniej skrzypce na kolanie i na Dmuszewskiego ze skrytym pogląda uśmiechem.

Wszystko to trwało naturalnie małą chwileczkę, otwarte usta z ruchami jakby śpiewem zajęte, zwróciły uwagę publiczności. Dmuszewski zaczerwienił się a Bielawski szepnął ku scenie:

— A cóż Dmuszesiu, dobrze ci teraz?

— Żebyś przepadł! — wyszeptał Dmuszewski.

— To kwita z kotlecika za kogucika! — domówił Bielawski.

* * *

Cesarza Franciszka Józefa przyjmowano niedawno w Krakowie bardzo uroczyście. Straż dla utrzymania porządku była urządzoną z obywateli miejskich do której i Żydzi należeli. Gdy zajęli wyznaczone miejsce jeden z nich pyta:

— Panie naczelnik, co ja mam robić jak cesarz przed nas podjedzie?

— Zaraz, panie Morytz, ja wam wszystko powiem.

— Panie naczelnik — z szarpaniem zwierzchnika woła drugi. — Czy my wszyscy będziemy co robić?

— Ah! co to za takie gadanie, panie Ludwik, jakby w głowie jednej klepki brakło.

— Jak mówisz, panie naczelniku — odzywa się jeden w pobliżu stojący i ze śmiechem dodaje:—tak się przecie po polsku nie mówi.

— A jak się mówi?

— Mówi się, jakby w klepce jednej głowy brakło.

— No, to każdy może się omylić, to po co tak się zaraz śmiać. Przecieć ja wiem jak się powinno powiedzieć. Otóż pan Ludwik tak mówi, jakby mu w klepce jednej głowy brakło, ale co ja wam powiem...

— Słuchamy, słuchamy, pan naczelnik.

— Oto cobyście panowie wiedzieli, co my teraz nie żydki z Kazimierza, tylko straż honorowa. Jak cesarz spojrzy ku nam, to nie krzyczeć wiwat! tylko niech żyje! A teraz *still!* za *dziesęc* minut mamy go tu!

* * *

— Ile masz lat? — zapytuje sędzia pana X., powołanego w pewnej sprawie na świadka.

— Lat trzydzieści.

— Trzydzieści! ależ panie, przypominam sobie dokładnie, że przed dziesięciu laty także liczyłeś sobie lat trzydzieści wieku.

— Być może, panie sędzio bo nie należę do osób lekkiego usposobienia, co dziś mówią to a jutro co innego.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. Maryi Z. Uwagi w odpowiedziach na listy w Przyjacielu Dzieci, bardzo zbawiennie działają na młodych jego czytelników. Wypływa to jedynie z troskliwości, aby przemawianiem do uczucia, do godności błądzących, niczem nie wstydzić, nie obrażać a jednak prawdy nie kryć i wypowiedzieć ją zawsze z największą szczerością. Trudne to bardzo zadanie, ale konieczne, Przyjaciel stara się je spełniać o ile możność na to pozwala.

NOWE WYDAWNICTWA.

Logika przez W. Stanley Jevons, objaśniona figurami i pytaniami. Przełożył z upoważnienia rodziny autora podług najnowszego wydania angielskiego Henryk Wernic. Nakład księgarni Teodora Paprockiego i S-ki w Warszswie.

Guy de Maupassant. Przez kobiety (Bel-Ami): Łódź, druk Dziennika Łódzkiego.

Rys geografii Królestwa Polskiego skreślił K. Krynicki z dodaniem mapy kolorowanej. Nakład księgarni T. Paprockiego i S ki.

Tancerka. Fantazya sceniczna w jednym akcie podług dramatu Cossy (Nero) ułożył K. Kaszewski, muzyka K. Hoffmann. Nakład tej samej firmy co wyżej.

OD REDAKCYI.

☞ **Tom czwarty seryi drugiej pism Alberta Wilczyńskiego, już wyszedł z druku i obejmuje:**

SIELANKI SZLACHECKIE.

Wydawnictwo to, redakcya przeznaczyła na **premium nadzwyczajne** dla swoich prenumeratorów, obniżając dla nich cenę do minimum, bo do połowy ceny księgarskiej.

Cena prenumeracyjna pism Alberta Wilczyńskiego:

Dla prenumeratorów „Tygodnika Mód i Powieści“ *w Warszawie:*

za tom kop. 60; za tomów 12 rs. 7 k. 20

w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:

za tom kop. 70; za tomów 12 rs. 8 k. 40

Dla nieprenumerujących „Tygodnika Mód i Powieści“ *w Warszawie:*

za tom rs. 1 k. 20; za tomów 12 rs. 14 k. 40

w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:

za tom rs. 1 k. 30; za tomów 12 rs. 15 k. 60

Należność prenumeracyjną można wnosić rocznie, półrocznie, kwartalnie, lub też za każdy tom oddzielnie.

Adres: J. K. Gregorowicz, w Warszawie, Chmielna Nr 26 nowy.

ZAWIADOMIENIA.

Metoda kroju sukien.

Czytelniczkom naszym pragnącym nauczyć się kroju sukien, zalecamy książkę p. t. „Najpraktyczniejsza metoda francuzka kroju sukien damskich i dziecinnych”, ułożona przez E. Kaliszewską, właścicielkę zakładu „Maison Phenix”, w Warszawie, przy ulicy Niecałej N-r 12. Cena rs. 1. Metoda ta posiada, podług osób kompetentnych, wszelkie warunki, aby kobieta nie zajmująca się nigdy krawieczyzną, poznała ją doskonale, bez pomocy nauczyciela.

PRZYJACIELA DZIECI

numer 40 wyszedł z druku i zawiera:

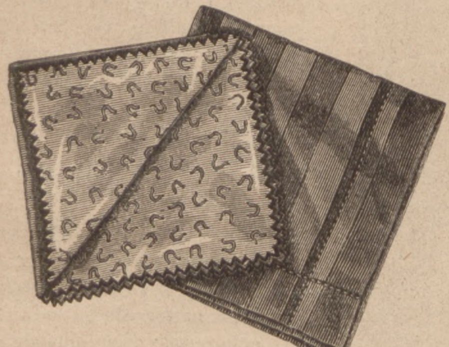
Hitorya świecy.— Pierścionek (wiersz) Gimnaziści na wakacyach (komedya).— Z polowania w Teksas (drzeworyt). — Pałac w Liwadyi (drzew.).— Z wędrówki po ojczyzty ziemi. — Suseł (z drzew.)— Książę i biedak. — Wspomnienie historyczne.— Z nauki. Dodatek: W podziemiu.—Żebrak (wiersz). Awantury pana Głuptasiewicza (z drzeworytem). Piosnka Babci (wiersz).—Lekarstwo na zbytki.— Osieł wilkiem (wiersz).— Tabliczka, rysik i gąbka. Z prawdziwych wydarzeń. — Odpowiedzi. —Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 26 Сентября 1886 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).



N. 1. Sukienka dla dziewczynki lat 5—7. Patrz ryc. 41. Krój na arkuszu N. V, fig. 36—41.



N. 2—3. Chusteczki kolorowe do nosa.

Opis do N-ru 41.

(Dokończenie.)

N. 8 i 20. Kosz do papierów. Deseń patrz fig. 51.

Drewniany kosz, 50 cent. wysoki, u dołu 64, w górze 85. cent. obwodu mający oklejony jest w środku czarną, zewnątrz jasno bronzową skórką. Górny 3 cent. wypukły brzeg koszyczka, otoczony jest ząbkami 2 c. szerokiemi, przysznurowanemi wąziutkim rzemyczkiem. Deseń zdzierany na skórze, ozdobiony malowaniem kolorowem, dajemy w naturalnej wielkości na ryc. 20 i na fig. 51 na arkuszu. Dolne zęby przyszyte są złoconemi guziczkami.

N. 9—10. Paletocik z kapturkiem, dla panienki lat 9—11. Krój na arkuszu N. IV, fig. 28—35.

Odrobiony z granatowego kiprowanego materyału na podszewce; przyozdobienie stanowią rzędy stębnówki w około brzegów, złote guziki z kotwicami i ponsowa materya surah w kapturku; na środku plastrona z przodu wyhaftowane godło, podług fig. 35 a, jedwabiem ponsowym i złotem. Przody fig. 29 wywinięte w górze w ranwersy i od 1 do 2 dopełnione plastronem, zapinanym z boku są w dolnej połowie jak to widać na ryc. 9 zapięte na dwa rzędy. Ranwersy krajane podług fig. 33 przyszyte są także od 1 do 2 a kapturek (fig. 34) od 4 do 14 przyszyty do przodów, dalej zaś do wykroju szyi. Materya surah stanowiąca wyłożenie kapturka przymarszczona jest i z tyłu na 13 cent. szeroko, kapturek zaś u dołu zszywa się od dwukropka do gwiazdki, przyczem brzeg boczny (w górze składając 14 do 14) tworzy wykład widoczny na ryc. 10; fig. 35 przedstawia paletocik z lewej strony. Plecy zaszyte są w cztery fałdy, zapięte z wierzchu patką 4 cent. szeroką. Mankiet oznaczony jest linią prostą na fig. 32.



N. 4. Ubranie żałobne.

N. 11—13. Sukienka z marynarskim kołnierzem, dla dziewczynki.

Składa się ze spódniczki ułożonej w kontrafałdy i bluzki opuszczonej w bufę, która ma brzeg dolny wszyty w pasek, przypinany do paska od sukni; przody bluzki sznurowane środkiem, mają dość głęboki wykrój szyi otoczony szerokim marynarskim kołnierzem aksamitnym, ściętym prosto jak na ryc. 11, lub skośnie jak na ryc. 13, wskazującej sposób przyszyszycia kołnierza. Rycina 11 przedstawia z przodu sukienkę z piaskowej etaminy, przerabianej w pasy deseniowe, dane na spódniczce i na kamizelce wszytej w stojący kołnierzyk. Na rycinie 12 widzimy sukieneczkę z alpagi, z aksamitnym kołnierzem



N. 5. Szlafroczek z przypinanym trenem. Patrz ryc. 17—19. Opis i krój na arkuszu N. IX, fig. 52—55.

N. 6. Sukieneczka dla dziecka lat 1-2.



N. 7. Kapotka z alzacką kokardą. Opis przy r. 7 w N-rze 40.



N. 8. Kosz do papierów. Szlak zdzierany na skórze patrz ryc. 20. Deseń na arkuszu fig. 51.

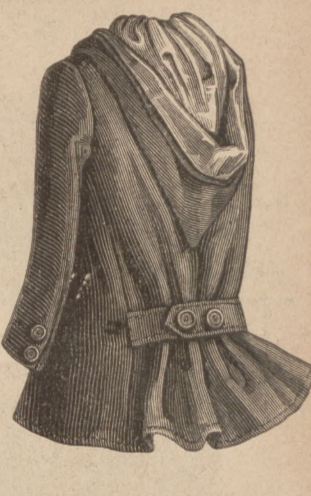
przybraną u dołu spódniczki naszyciem z sutaszu.

N. 14—15. Krótkie okrycie. Krój na arkuszu N. XIII, fig. 67—68.

Zgrabna ta forma nadaje się szczególniej na okrycia robione z tego samego materyału co suknia. Model ryc. 15 był z materyału wełnianego w paski, na podszewce atłasowej, z przybraniem aksamitnem i guzikami błyszczącemi metalowemi, $3\frac{1}{2}$ cent. średnicy. Na zmniejszonym formacie fig. 67 a, widzimy zestawienie formy, danej w naturalnej wielkości w dwóch częściach, którą z materyału krajać trzeba w jednym ciągu. Koniec oznaczony przez *u* i *v* podwija się pod spód i przyszywa podług odpowiednich liter. Podszewka jedwabna staje się zupełnie widoczną przez to złożenie; przybranie aksamitne dane wzdłuż pleców i kołnierz aksamitny 6 cent. wysoki podszyty jest atłasem. Aksamit u dołu pleców podwinięty w pukiel od *p* do krzyżyka.



N. 9. Paletocik z kapturkiem dla panienki lat 9—11. Patrz ryc. 10.

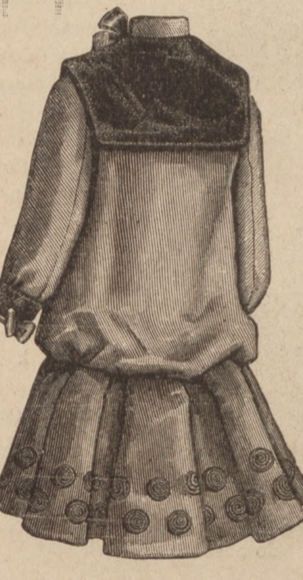


N. 10. Paletocik z kapturkiem. Plecy do ryc. 9. Krój na arkuszu N. IV fig. 28—35a.



N. 11. Sukieneczka z marynarskim kołnierzem. Patrz ryc. 12.





N. 12. Sukieneczka z marynarskim kołnierzem, dla dziewczynki. Patrz r. 11-13

N. 22—23 i 35. Przykrycie we framugę okna. Deseń patrz fig. 82—87.

Liczy 124 cent. długości bez frendzli 12 cent. szerokiej i ma tło gruby bawełniany kiprowany materyał, przerabiany w pasy $8\frac{1}{2}$ cent. szerokie, naprzemian oliwkowe, ciemno niebieskie, zielone i ponsowe. Na takiem tle, jak to wskazuje ryc. 35, odznaczają się ku środkowi dwa pasy z efektownym ciągnionym deseniem, otoczone wązkim szlaczkiem resztę zaś tła zajmuje rzut z pojedyńczych figur. Rycina 23 przedstawia w naturalnej wielkości jedną figurę, wskazując zarazem łatwy haft; fig. 83—87 na arkuszu z krojami dają desenie na rzucik a fig. 82 część pasa. Kontury obwodzi się grubą nitką kastorowej włóczki, przytrzymaną poprzecznemi ściegami, takaż włóczka użyta na kielichy kwiatów odznaczone bajorkiem. Środki listków zapełnia ścieg dziergany włóczką hamburską. Dolny brzeg przykrycia trzeba wysiepać i ozdobić frendzlą przewiązywaną podług ryc. 35. Brzegi oszyte grubym kolorowym sznurem.

N. 26—27 i 36. Paletot z peleryną i kapturkiem. Krój na arkuszu N. III, fig. 21—27.

Na paletoty jesienne modne są materyały w paski, kratkę lub nie gładkie noppé. Formę paletota trzeba na długość i szerokość dopełnić podług miar wypisanych na zmniejszonym formacie kroju fig. 21a—23 a. Pelerynkę z kapturkiem można przyszyć do paletota lub wykończyć oddzielnie i przypinać. Kapturek kraje się z podwójnie wziętego materyału i wykłada szeroko podług ryc. 27. Kieszenie przecięte poniżej zaszewek.

N. 30—34. Ubranie myśliwskie.

N. 30. Czapka myśliwska. Krój na arkuszu N. VI, fig. 42—45.

Składa się z siedmiu krawatek przykrojonych podług fig. 42—45 z cienkiego wełnianego materyału na jedwabnej podszewce; szwy dają się stębnówką, podłożywszy starannie brzegi. Daszek wpuszczony między wierzch i podszewkę kraje się ze skóry podług fig. 44 i pokrywa z wierzchu materyałem. Dolny brzeg czapki jest dwa razy przestębnowany.

N. 31. Kamasz do polowania. Krój na arkuszu N. XI, fig. 60.

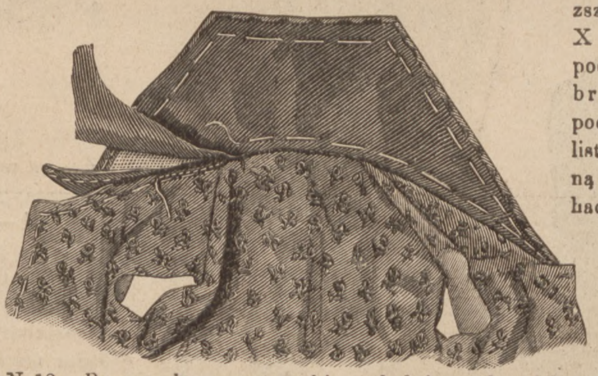
Kraje się z materyału nieprzemakalnego na perkalowej podszewce; po zszyciu od W do X i od Y do Z podszywa się brzegi wzdłuż podwójnej linii listewką skórzaną i przyszywa haczyki do sznurowania rzemyczkiem. Od gwiazdki do Z dodane strzemiączko skórzane zapięte na sprzączkę.

N. 32—33. Bluza myśliwska. Krój na arkuszu N. XII, fig. 61—66.

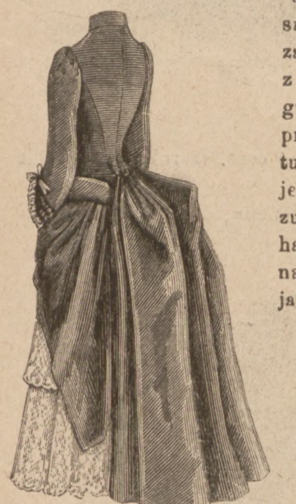
Odrobiona jest z ciemno bronzowego lodenu; fig. 61 daje formę bluzy



N. 16. Parasolik z prostą laską.



N. 13 Przyszycie marynarskiego kołnierza do sukienki ryc. 11—12.



N. 17. Szlafroczek z podpiętym trenem. Patrz ryc. 5.



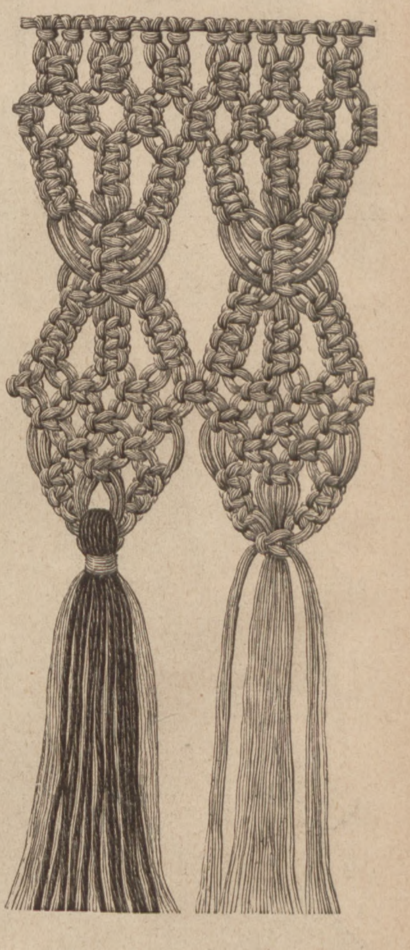
N. 19. Przód do r. 5.



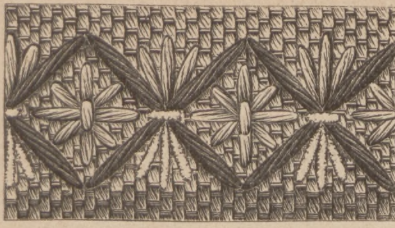
N. 18. Plecy do ryc. 5 i 17—19.



N. 20. Szlak zdzierany na safianie do ryc. 8.

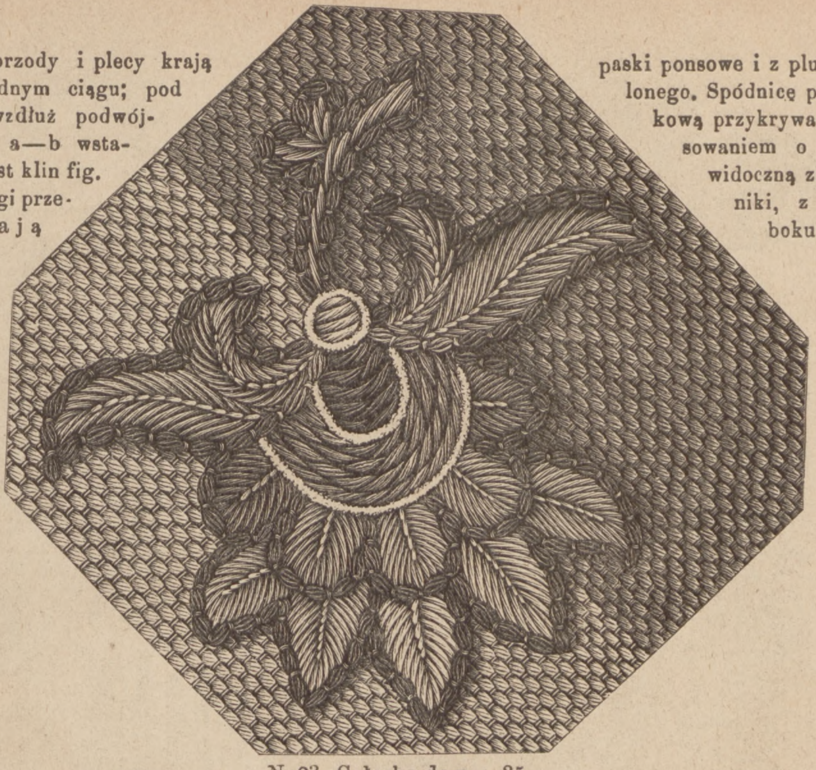


N. 21. Frendzla robotą wiązaną, do ryc. 16 w N-rze 40.



N. 22. Szlaczek do ryc. 35.

której przody i plecy krają się w jednym ciągu; pod pachą wzdłuż podwójnej linii a—b wstawiony jest klin fig. 62. Brzegi przednie mają przestębnowaną listwę $7\frac{1}{2}$ cent. szeroką. Zwracamy uwagę na odszycie ramienia, na którem przystębnowany jest naramiennik fig. 64, dopełniony klinikiem fig. 63 przystębnowanym od *d* przez *c* do *e*. Ażeby bluza nie odstawała podszyte są listewki oznaczone linijką na formie, służące do nawleczenia elastyki, u góry 86 cent. długiej, w niższym rzędzie 76. Przy wszyciu rękawów górna część pachy podszyta jest listewką z wypustką ze sznureczkiem; dolny brzeg rękawa zmarszczony do paska 3 cent. szerokiego.



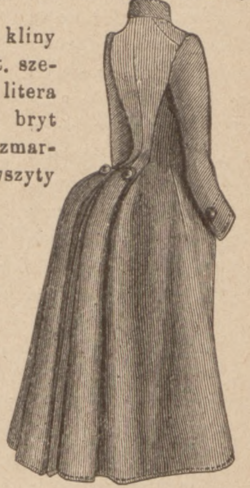
N. 23. Gałązka do ryc. 35.



N. 24. [Szlaczek haftowany do r. 2—3.



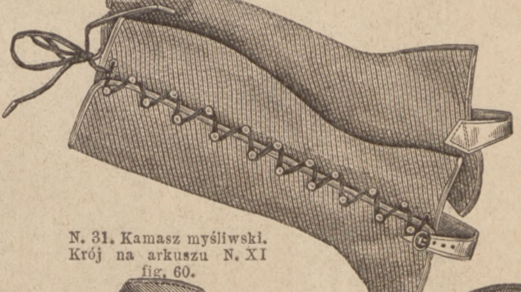
N. 25. Plecy płaszczyka ryc. 28 w N-rze 40. Krój na arkuszu N. XV, f. 78.



N. 26. Plecy do r. 36. Patrz r. 27. Krój na arkuszu N. III f. 21—25.



N. 30. Czapka myśliwska. Krój na arkuszu N. VI fig. 42—45.



N. 31. Kamasz myśliwski. Krój na arkuszu N. XI fig. 60.

N. 34. Paletot myśliwski. Krój na arkuszu N. II, fig. 14-20.

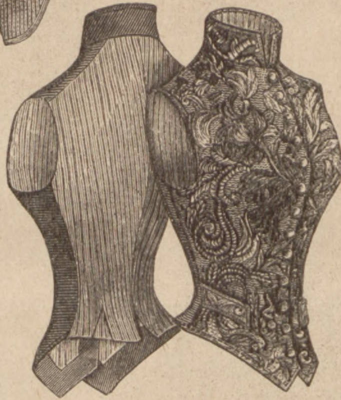
Przody i plecy paletota przykrojone z żaglowego płótna podług fig. 14—15 marszczą się w górze i wszywają od *b* do *c* i od *d* do *e* w karczek, przykrojony w jednym kawałku podług fig. 16, w przedniej części materyał wypada skośnie. Na wszystkich szwach od spodu podszyte są listewki; brzegi przednie mają pod guziki i dziurki dane listewki 7 c. szerokie. Rękawy zmarszczone u ręki i wszyte w pasek 4 cent. szeroki. Pasek wpuszczony w szwy boczne.



N. 27. Pelerynka z kapturkiem do paletota ryc. 26 i 36. Krój na arkuszu N. III; fig. 25—27.



N. 32—33. Bluza myśliwska. Krój na arkuszu N. XII fig. 61—66.



N. 28—29. Kamizelka do ryc. 1 w N-rze 40. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—3.



N. 34. Paletot myśliwski. Krój na arkuszu N. II fig. 14—20.

N. 38—39. Suknia z długą tuniką. Krój na arkuszu N. VII, fig. 46—47.

Rycina 38 i 39 przedstawiają przód i plecy sukni z kamienno popielatej materyi surah, w kratkę lub paski ponsowe i z pluszu zielonego. Spódnicę podszewkową przykrywa się plisowaniem o ile jest widoczną z pod tuniki, z lewego boku plisowanie przedzielają kliny pluszowe po 19 cent. szerokie. Na fig. 47 litera *a* oznacza przedni bryt draperyi, w górze zmarszczony do 62 c. i wszyty w pasek; brzeg boczny dochodzący do pluszu jest przy 45 sfałdowany podług znaków i przyszyty na spódnicy 21 c. poniżej paska, drugi brzeg boczny złożony gwiazdką do gwiazdki tworzy dwa pukle. Boczny bryt *b* i tylny bryt *c* są w górze przymarszczone i wzdłuż szwu sfałdowany podług znaków do 35 cent. długości; dolny brzeg podwija się pod spód składając dwukropkiem do dwukropka, w górze zaś podpina bryt podług krzyżyka i kropki. Stanik sfałdowanem karoczkiem, ma przody otwarte na kamizelce zapiętej na guziczki.

N. 40. Ubranie dla chłopczyka lat 3—4. Krój na arkuszu N. XIV, fig. 69—77.

Składa się z majteczek, staniczka spodniego i żakietki z materyału wełnianego w drobną kratkę; na kamizelkę i kołnierz użyty materyał trykotowy. Majteczki szyją się całe na podszewce i stębnują kilkakrotnie u dołu; z boku poniżej szwa od 3 do 4, zapięte są na małe metalowe guziczki, gór-



N. 36. Paletot z pelerynką i kapturkiem. Patrz ryc. 26—27. Krój na arkuszu N. III, fig. 21—27.



N. 35. Przykrycie do frámugi okna. Patrz ryc.] 23 i fig. 82—37 na arkuszu.

ny brzeg przedniej połowy majtek wszyty jest w brzeg staniczka przykrojonego podwójnie z podszewki podług fig. 70. Fig. 71 daje połowę podszewki kamizelki pokrytej materyałem trykotowym, na środku z oddzielnego kawałka złożone są fałdy, których prawy brzeg przyszywa się od dwukropka do gwiazdki, lewy zaś przypina na haftki. Żakietka z otwartemi przodami, podłużnie wycięta pod szyją ma podwójny kołnierz marynarski, spodni z tego co ubranie materyału podłożony sztywnym muślinem, zwierzchni trykotowy podszyty miękką podszewką. U dołu przodów dane klapki przystębnowane od 13 do 20, niżej zaś przyszyta spódniczka 16 c. długa, złożona w 5 c. szerokie kontrafałdy, której przyszycie zakrywa pasek 4 c. szeroki. Do zapięcia przodów służą dwa duże metalowe guziki, małe zaś dane tylko dla ozdoby.



N. 37. Agrafka do zawieszenia wachlarza.



N. 38—39. Suknia z długą tuniką. Krój na arkuszu N. VII fig. 46—47.

N. 40. Ubranie dla chłopczyka lat 3—4. Krój na arkuszu N. XIV, fig. 67—77.

N. 41. Sukienka dla dziewczynki lat 5—7. Patrz ryc. 1.

N. 42. Suknia z vêtement.

Spódnica podszewkowa pokryta z przodu naprzemian danemi plisami z materyału i szlakami tureckiemi, z boku na zakończenie dane kokardy z wstążki przepięte dużemi sprzączkami. Vêtement zapięte skośnie na kryte haftki, suto podpinane z tyłu, z przodu złożone w poprzeczne fałdy ma na staniku szerokie ranwersy; kamizelka naszyta szlakami.

N. 43. Suknia ze stanikiem do paska. Krój na arkuszu N. X, fig. 56—59.

Dla młodych szczupłych osób bardzo zgrabne są staniki do paska; r. 43 przedstawia taki stanik z gładkiego materyału koloru lila, przy spódniczce w kratkę lila z białą. Fig. 56—57 dają formę podszewki, zaś materyał zwierzchni w przodach zastębnowywa się w cztery, w plecach bez szwu w siedm zakładek; rękawy zakończone zakładkami. Pasek skórzany z klamerką



N. 42. Suknia z vêtement.

N. 44. Suknia ze stanikiem z kamizelką.

Odrobiona z czarnej materyi faille, ma strojną kamizelkę, kołnierzyk i mankiety wyszywane złotemi i świecącemi perełkami; bufowanie na piersiach i w rękawach dodane z materyi surah koloru zielonawego (chartreuse); jak to widać na ryc. 44 dwa oddzielne kawałki przyszyte są w połowie długości kamizelki, w górze ściśle zebrane w fałdy i podsunięte pod szew ramienia. Rękawy rozprute na szwie środkowym mają bufę suto namarszczoną u dołu zebraną w górze pod rozetą z perełek.



N. 43. Suknia ze stanikiem do paska. Krój na arkuszu N. X. fig. 56—59.



N. 44. Suknia ze stanikiem z kamizelką.